

Nr. 21. *Z dnia 15 listopoda 1903 r.*

KORESPONDENCYA.

Zakopane 13.

Połowa listopada, to początek zimowego sezonu, więc też Zakopane przybrało na powitanie swych gości odpowiednią szatę, tę swoją białą, puszystą ubrylantowaną.

Smereki uginają się pod ciężarem tego mroźnego puchu, a dzwonki sanek ogłaszają jego panowanie i początek całego szeregu sportów zimowych, dzięki którym tak dobrze bawią się tu w zimie i które ściągają tu coraz więcej zdrowych.

Zimę zapowiadają śnieżną, łagodną — taka właśnie jest tu pożądaną.

Już wszystkie prawie mieszkania zimowe wynajęte, sezon zapowiada się dobry a miejscowi robią przygotowania, by był wesoły. W tym celu zjechał tu p. Adam Wroński, by postawić orkiestrę góralską na odpowiednej stopie.

Śnieg spadł na pół metra, barometr stoi wysoko, pogoda zapewniona.

Zakład Dra Chramca coraz bardziej się ożywia, codziennie nowi przybywają goście, a z końcem miesiąca Zakład będzie zupełnie zapełniony.

Zakład Dra Chwistka ma prawie wszystkie pokoje zamówione; w ogóle sezon zimowy zapowiada się świetnie.

Z większych domów przyjeżdża wiele rodzin. W tych dniach oczekuje Zakopane hr. Adamów Krasińskich. Bawią tu hr. Zyberk Platerowie, pani Rylska z córką także na całą zimę.

Straszny pożar wybuchł we czwartek d. 12 b. m. wieczorem na stacyi Nowy Targ. Do wagonu, gdzie mieściła się nafta i benzyna, wszedł posługacz z latarką i przez nieostrożność zajęła się benzyna. W jednej chwili cały wagon stanął w płomieniach. — Przy ratunku dwóch ludzi poparzyło się ciężko. Jeden z posługaczy z narażeniem swego życia wpadł w płomień, odpiął wagon płonący i lokomotywa odwiozła go w pole, gdzie już bezpiecznie spalił się doszczętnie, buchając w niebiosa ogniem. Popłoch między publicznością był wielki.

Dodatek bezpłatny do „Głosu Narodu“ z dnia 15 Listopada 1903 r.

Lekarz klimatyczny i dezinfekcja.

Piszą nam z Zakopanego:

Przykrą bardzo spotkaliśmy korespondencję w „Gazecie Narodowej“ z 11 listopada br. o Zakopanem. Pan Robert Adamski, notarjusz w Bóbrce ogłasza fakt, który bez komentarza sam jako taki, wymownie za siebie mówi. Oto po ciężkim dyfterycie, lekarz klimatyczny urządził dezinfekcję po długich prośbach w sposób urągający najprostszym wymogom hygjeny. Korespondencja pana Adamskiego musi spowodować interwencję władzy, a publiczność uwiadomiona o lekkomyślności lekarza klimatycznego musi się na tej samej drodze dowiedzieć o zarządzeniach władzy, bo inaczej nicby nie było dziwnego, gdyby od Zakopanego uciekano jak od gniazda zaraz i chorób.

Nie chcemy wcale wszczynać walki i występować przeciwko jednostkom, zwłaszcza w Zakopanem — które przyzwyczailiśmy się uważać za zimowe leże dwu wrogich obozów. Jednak wobec korespondencyi p. Adamskiego musimy zaznaczyć pewne fakty, aby żal i rozgoryczenie ograniczyć, a wskazując na właściwe zródło złego, tem snadniej spowodować jego usunięcie i uchronić Zakopane od nieszczęścia.

Głośną była przed rokiem sprawa usunięcia lekarza klimatycznego przez komisyę klimatyczną, z powodu zaniedbywania swoich obowiązków. Między innemi udowodniono mu, że się wcale desinfekcyą nie zajmuje, pozostawia tylko jej wykonywanie słuźbie.

Namiestnictwo było tego samego zdania, co i komisya klimatyczna, lecz dr Janiszewski znalazł dzielnego prawnika za swego rzecznika w osobie dr Michała Greka — członka parlamentu, który na podstawie instrukcyi przekonał Ministerstwo spraw wewn., iż lekarz klimatyczny sam nie potrzebuje wykonywać ani dozorować desinfekcyi, wystarczy, gdy poleci tę czynność wyćwiczonej słuźbie.

Jak taka dezinfekcya wygląda, opisuje właśnie p. Adamski, a każdy kto jego odezwę przeczyta ma tylko jedno wyrażenie na określenie faktu: karygodna lekkomyślność.

Komisja klimatyczna usunęła z urzędu dra Janiszewskiego, Namiestnictwo jej uchwałę zatwierdziło, lecz Ministerstwo tę uchwałę zniosło. W czasie, gdy nie urzędował dr Janiszewski, lekarze klimatyczni dr Iwański i dr Chwistek sami osobiście z pomocą służby przeprowadzali dezinfekcję. Dr Janiszewski na rozkaz Ministerstwa objął urzędowanie 17 października i znów ani razu dezinfekcji nie przeprowadził, tylko oddał tę czynność swemu parobkowi. Mogą się więc znowu powtórzyć wypadki opisane przez p. Adamskiego.

JANTOŚ MĘCZENNIK.

OMAL NIE HUMORESKA.

Walantowa miała wielkie zmartwienie.

Od czasu, kiedy sołtys Maciej wręczył jej z gminy „powiestkę“, że jej chłopak ma na jesieni stawać do wojska, baba ani spać, ani jeść nie mogła. Łaziła po izbie jak ta mucha w zimie i wzdychała jeno, a radziła z kumami to u płota, to na drodze, gdzie się trafi.

Miała Walantowa po nieboszczyku chałupę z obejściem, jeden ogon w oborze, kośniątko łąki, łyse pólko na piasku i kartofliska mało wiele. Swięta bieda była, aż piszczało.

Tyle parady, że się nazywała obsiadłą gospodynią. Ale taka to i była pociecha.

Już i tak, tylko co starsze baby, lepsze czasy Walantowej pamiętające, honorowały ją jeszcze, ale młodsze, czasem i dziewuchy smarkate, odgryzały się jej niekiedy, a niektóra to i paskudne słowo rzekła. Że to niby bez chłopskiej opieki była babina, a nie bardzo pyskata i całkiem niezaradna.

Tak się też i stopiło to dobro nieboszczykowe, w którego tradycji, jak w glorji, chadzała Walantowa. I jak się stopić nie miało, kiedy z dzieci nijakiej nie było pociechy.

Starszy, Stepan, był całkiem głupowaty i chorowity. Ani to do roboty, ani co. Jak nałoży stare kapelusisko na ten konopiaty łeb i pójdzie, to go parę miesiących ani poświć w chałupie. A mały był, a chuderlawy i całą gębę w pryszczach miał.

Poszło mu na 25 rok, a na wejrzenie dawały mu ludzie piętnaście. Ale że wyraźnie głupi nie był, a chorości ciężkiej po nim znać nie było, to sołtys Maciej zawczasu zapowiedział, że młodszemu, Jantkowi, prawo wyboru nie przysługuje i że przyjdzie czas, trza mu będzie „stawać“.

Sępiła się Walantowa, kiedy jej spomniało się o tem stawaniu, ale myślała, że kiedy Jantoś jest cały gospodarz, to go jej żadne straśniki, ani nacielniki odebrać nie mogą.

Jakże! Przecie gospodarstwo na nicby się przez chłopa ozleciało.

Zresztą wesoła była babina i dobroduszna, to się i nad smutnemi rzeczami zamyślać nie lubiła. Mało co jeszcze może być!

Aż tu Maciej przynosi w południe „powiestkę“.

— Tak i tak — powiada — Jantkowi po kopaniu kartofli trza będzie jechać do powiatu. Zdrowy chłopak, to niema co gadać, że wezmą.

Osłupiała Walantowa, zamamrotała coś o krzywdzie i zabeczała.

Maciej zaś, gospodarz stateczny i bywały urzędnik, jasno i dokumentnie począł jej tłómaczyć, że Jantoś z żadnych przywilejów korzystać nie może. Co do wyciągnięcia „dużego losu“ także szanse były nie wielkie, bo mu znajomy feldfebel wytłómaczył, że gieniełału trza dużo sołdatów, że to niby tera je wojna z „kitajcami“. Pokazywał mu to czarno na białem ziemski strażnik Jelisiej. Cóż ta na to poradzić? Nie nam mądrować. Abo to człowiek bogaty?

Wysiąkał Maciej nos należycie w czerwoną chustkę w białe róże i wyszedł delikatnie, zostawiając Walantową własnemu smutkowi.

Na odwiecierz przychodzi Jantek.

Pomagał Bartłomiejom zwozić koniczynę. A że chłopak był tęgi i urobił się setnie, więc zaraz przysiadł się do kartofli z maślanką. Aż tu, jak ten pieron z nieba, spada na niego wiadomość o wypadkach, które się bez jego wiedzy i współudziału tak na niekorzyść rozegrały.

Zasumował się chłopak. Ledwo co nie pochleptał z garnka i wyszedł na podwórko całkiem zmarkotniały.

Walantowa zaś przejrzawszy jaśniej po pierwszem ogłuszeniu, poleciała do kumów Bartłomiejów. Radzili bez cały wieczór.

Kuma z usposobienia oportunistka, baba przysadzista, gadatliwa i uprzykrzona, poradziła Walantowej pójść do nacelnika i całą rzec wyłożyć.

— Nie szkodzi koguta, jajów trochę, albo i papierków parę.

Walantowa była tegoż samego zdania i już obliczać poczęła, zkądby tu papierków wyskrobać, bo o koguta to się nierozchodzi — ale kum, chłop myślący, a świadomy i ryzykant, wyśmiawszy należycie babskie rajcowanie, rzucił od niechcenia półgłosem słów parę.

Bartłomiejowa wymownie zamilkła. Walantowa schwyciła się za głowę i zalamentowała. Ryzykant począł przemawiać uspokająco:

— „Fercel!“ jest znający człowiek, więcej krzywdy, niż potrza, nie zrobi. Uśkodzenia z tego żadnego nie będzie. Chłopu ta i nic nie wadzi, jeśli je trochę przygłuchy. A co ma chłopak marnie przepadać.

...Żeby tak nie ta wojna z kitajcami, to możnaby jeszcze parę roków bez niego przebiedować.

— Hale! — dodawała Bartłomiejowa — abo to nie wrócił Samków Wojtek latoś? Buty miał długie na glanc, kosiulę czerwoną jedwabną, kaśkiet nowiuśki, jak ten placek, na głowie, zygarek z łańcuszkiem. Służył gdziesić za dzieńszczyka i tak się wyreperował, że go dziewuchy omal nie ozerwały.

— Abo to se pomstował! Jak zagrają — peda — w kazarmach na harmonjach, jak zaśpiewają:

„Try dzierewni — dwa sieła,
Wosiem dziewok — odin ja...“

żyć nie umierać! Tylo co na uczenje, czasem ferdfeber po mordzie da. Abo to na wsi rzońca, czy, niedaleko szukając leśniczy nie da w mordę?

— Tylo, że te kitajce, to już sam straźnik Jelisiej powieda, że inne dzieło!

— Jezusie, zanim chłopaczysko wysłuży, to go i gotowe gdzie pikami zaciukać. Wiadomo, dziki naród.

Walantowej kumowe słowa huczały w głowie, jak młyńskie kamienie; fercel... reperacja... a najgorzej — te kitajce z pikami.

— Taki chłopak; — myślała sobie. Prawda, że do karczmy poleci, i za dziewkami ugania, i matce czasem dobrego słowa nie da. Ale zawsze, co gospodarz, to gospodarz. I te kartofle wykopie, i ten chleb wymłóci, i w zimie we dworze zarobi u cepa, abo gdzie.

...Przyciężki on i leniwiec, niech ręka Boska broni. Od roboty, jak pies od much ucieka, ale jak go matka zagna, to już robi, jak ta maszyna...

...I silna bestja; nie to, co tamten odmieniec, Czerwuny na gembie, obsadzisty, orzechów garść na tabakę zmiele.

Czasem jej się tak znarowił, że ani przemówienie, ani wybeśtanie nie pomogło. Dopiero jak go w komórce abo w oborze przycapiła, a pięścią czy zapaską w kark wyćwikała, to się opamiętał i posłuchał.

Krzywdy ona mu tam nie zrobiła, bo mu głową ledwo do ziober sięgała, ale zawsze pokazała, co to matczyny honor i prawo.

Tak se pogadywali do samej nocy. Ale o felcerze i projekcie ryzykanta Bartłomieja jakoś mowy nie było.

Nareszcie Walantowa, smyrgając nosem i wzdychając, powlekła się do chałupy.

Od tej pory zatrutą miała strawę, spanie nijakie, robotę tyż. Zmieniło się babsko na humorze i na wejrzeniu. Jantoś zaś na zewnątrz pogodził się z losem. Tylko czasem, kiedy już mu strasznie było markotno, leciał do karczmy, abo wylegiwał się na ławie. Roboty pod jesień było omal. Na kartofle jeszcze czas.

Zresztą Walantowa nie piliła go do roboty. Nabrała dla niego wielkiego respektu, więc rozleniwiło się chłopisko jak byk. Tylko ona za niego suszyła sobie głowę i płakiwała po nocach, a wagowała się, czy mu powiedzieć o „sposobie„ Bartłomieja, czy nie.

Wreszcie zwierzyła mu się z wielkiemi ostrożnościami, chlipiąc w zapaskę,

Chłopakowi śtuka podobała się bardzo. Zaczął chodzić zaraz jak indor, zasumowany a napuczony.

Po dłuższej naradzie z Bartłomiejem, stanęło

na tem, że Bartłomiej poruszy wszystkie sprężyny, aby wyskrobać parę papierków dla fercela, zaś dopuszczony do tajemnicy sołtys Maciej miał użyć swojej protekcji.

A był już czas wielki. Rekruty z całej gminy chodziły bandami koło gminy. Aż jednego dnia zajechały furmanki i, kto na swojej, kto na gminnej, wszyscy ruszyli do powiatu.

Krzyk i lament, jak zawsze kiele rekrutów na wsi, był rzetelny. Walantowa wyryczała się setnie, choć i tak miała za dwie niedziel jechać tyż do powiatu z papierkami dla fercela, który tymczasem za poręczeniem Macieja miał dokonać operacyi na kredyt.

Krzyż Pański przecierpiała Walantowa przez te parę niedziel. Po całych nocach płakiwała gorzkiemi łzami. Sumienie ją udręczało, że ona, baba z piekła rodem, własne dziecko na udręczenie wydała. Oczy jej wpadły, nos się wyciągnął, zczerniała na gębie, jak ta ziemia.

Na dobitek wszystkiego kartofliska nie wykopane i ta ociupina chleba nie wymłócona, a i ludzie nie skorzy byli do pożyczenia papierków. Nic poradzić nie mogła — trza było krowinę sprzedać. Taka wspaniała krowa! Czarną krwią się jej serce oblewało, kiedy ciągnęła krowę na postronku do rzeźnika. Czekał ten Herod, czekał u swojego szwagra, pachciarza, doczekiwał się cieląt od Antoniego Puchlika, co akuratnie miał parę krów na ocieleniu, aż doczekał się Walantowej krowy.

Jucha żyd! za psie pieniądze się obłowił.

Wzięła Walantowa dwadzieścia pięć papierków i podyrdała do chałupy. Tam se dopiero dała folgę zmartwieniu.

Jantoś zaś przez te parę niedziel wyrósł w jej oczach na męczennika.

— O Jezusie! co to dziecisko wycierpi. Na co jemu już przyszło sierocie bezemnie, chorobę, bezemnie — jęczała przed Bartłomiejową. Ja to chciałam mieć chłopa przy obejściu. Taj go sama, jak ten Judasz, na umęczenie wydałam.

— Lepiej, że pocirpi tera — perswadowała Bartłomiejowa — niż, coby go mieli te tam kitajce tak, przez księdza, przez Sakramentu uśmiercić.

— Oj! okaleczą go te fercely, dochtory, że się chłop na nic nie zda — jęczała jeszcze Walantowa, ale już jej ulżyło trochę na sercu.

Już ją opuściła ostra zgryzota. Miała za to dla Jantosia czułość i wdzięczność niezmierną za to umęczenie, które przyjął la niej, la gospodarstwa, la tego kośniątka ziemi, której przecie tak ostawiać bez gospodarza nie można.

A kiedy już minął drugi tydzień i Walantowa wiedziała, że co się stać miało, to się już stało, schowała papierki za pazuchę, dostała po znajomości furmankę i potrzęsła się na wózczynie do powiatu.

W drodze ją ogarnęło niesłychane rozrzewnienie dla Jantosia.

Widziała go już oczyma duszy zakrwawionego, bledziuśkiego po reperacji i ogarniała jej zbiedzoną duszynę wielka radość na myśl, że już całe zmartwienie skończone. Tylko jeszcze — co spotkała jaką krowinę albo i cielaka po drodze, to zaraz odwracała głowę i wycierała nos w zapaskę. Pamiętliwa była babina i miętkiego serca.

Podjeżdżając do miasta, spotkała sołdatów, co tam stalt garnizonem.

Pocmokała na szkapę i żałośnem okiem zirknęła na żołnierzy, ale słodko jej było na sercu, że już Jantoś z temi biednymi straceńcami nie pójdzie. Dalej spotkała Samka, co to miał syna



ZIMA W TATRACH.

we wojsku, ale go o Jantosia rozpytać nie śmiała, że to nie był całej rzeczy świadom.

Dowiedziała się tylko, że rekruty u Mośka przy aptece gulają, że ich jutro goniom dalej. Przystanęła na rynku przed apteką, koło Mośka.

Tam już stały fury — pół wsi się zjechało. Baby lamentowały. Przez otwarte drzwi buchał zapach wódki, słychać było hukania i śpiewy. A para waliła kłębami.

Walantowa zlazła z furki i weszła do szynku, wymizerowana, z bijącem sercem, oglądając się nieśmiało po stronach.

Przez tłum przeciskało się ku niej dwóch dryblasów, mocno podpitych, w nowych błyszczących kaszkietach na bakier. Obydwaj mieli czerwone koszule, rozchełstane na piersiach.

Jeden z nich, Samków Wojtek, rozdzierał harmonję, drugi, jej Jantoś, trzymał się jedną ręką pod bok, drugą obejmował kamrata, wyrabiając przytem nogami jakieś balasy i wykrętasy.

Na jej widok puścili się.

— Matka! — zastąpił jej drogę Samków Wojtek, szarpiąc ją za rękaw — jemu nie trza żadnego fercela. On się rozdumał. Chwat mały, jej Bohu! On idzie do wojska. Już go zapisali. Niech kawał świata obaczy. Rużja wolno! Pii! — wrzeszczał pijanym głosem, wyciągając brudny kułak pod sam nos Walantowej.

Baba pchnęła parobka z całej siły i szarpnęła się ku synowi. Chłopi rozstąpili się jak owce, i na pierwszy plan wystąpił Jantoś-męczennik.

Śmierdział wódką, czerwony był, jak burak, cebulaste niebieskie oczy wytrzeszczył na matkę i zawołał, kując kułakiem w piersi:

— Zapisali me! na kitajca pójdę, na turka pójdę. Jej Bohu! jutro nas pognajom. Z babami nie bede siedział!

— Jantoś, Jantoś... — zabełkotała żałośnie Walantowa.

Zrozumiała i zawyła wielkim płaczem.

. . . .

Późno w nocy wracała Walantowa z kumami Bartłomiejami do wsi.

Kuma była markotna i ciągle przegadywała do niej.

— Próżnośta się napłakali o niego, jak o tego świętego męcelnika, a chłopak, głuptaśny łeb, wziął i poszedł w sołdaty. I krowiny szkoda tyż, cośta ją żydowi zaprzedali. Takie bydlę! całą zimę przetrzymalibyśta o samem mliku. Mało garniec dała w dzień, abo nie?!...

Walantowa siedziała na furze, jak skamieniała.

Przed chałupą w milczeniu pocałowała się z kumami, wylazła z fury i podyrdała w ciemności wolniuśko do chałupy.

Bartłomiej podciął szkapę, nacisnął kapeluch na głowę i mruknął półgębkiem do baby:

— Całkiem ją przygnietło.

— Wiadomo. Od jednego razu i chłopak i krowa! Tyla krowa! Jak stodoła. Za takie pieskie pieniądze — westchnęła Bartłomiejowa i zasiadła się głębiej na grochowinach.

Na drugi dzień, coś około wieczora, wstąpiła Bartłomiejowa przewiedzieć się, co słychać u Walantowej.

Przyszła namarszczona i zasumowana, jak przystoi.

Na progu mocno pociągnęła nosem, westchnęła głęboko i... zadziwiła się: izba wymieciona na glanc, pod okapem trzaskają polana, z garnka się kurzy, że aż... a Walantowa, raźna jak dziewucha, zara na samym początku:

— Jest!! wydarłam — nie dałam!!

Bartłomiejowa wybałuszyła oczy.

— Już kiejeśmy jechali, myślę sobie: Pan Jezus miłosierny! Może jeszcze poradzę — może jeszcze odbierę! I tak mie, powiedam wam, jakby palec Boży w samo serce: leć!... I ja, skoro świt do niego....

— Moi złoci!... moi złoci?! — wykrzykiwała olśniona Bartłomiejowa.

— Po drodze-m ułapiła Sołtysa. Przecie urzędnik je — tyż słowo przemówi — myślę. Przylatujem, a tam ich cała hurma. Prasnęłam na stół dwadzieścia pięć papierków i wołam: Na, masz, a oddaj — kiejeście jeszcze nie pognali dalej! Nima na to moi zgody!!

— Aha, aha — mrugała uprzejmie rozjaśniona Bartłomiejowa — a une co? a une co?

— Zakrzycały me, zarajgotały... Dopiro sołtys, jak zacznie, jak zacznie... Odstąpiły. „Ale cielak od krowy bedzie mój“ — powiada ten Herod...

— Nacelnik?! Patrzajcie! — wrzasnęła w zachwycie Bartłomiejka.

— Ki nacelnik? — Powiedom przecie: żyd parchaty... rzeźnik. No!...

. . . .

No i była potem święta zgoda. A kiedy uwarzyło się mleko, Walantowa zasypała krupków drobnych. Gospodynie jadły i pogadywały statecznie.

Potem przypomniały sobie „kitajców“ i już mocno rozespane, popłakały się żałośnie.

— Wola Boska! Abo to człowiek bogaty!

(Z „*Kraju*“).

HOTEL BABILON

PRZEZ ARNOLDA BENETT'A.

(Ciąg dalszy).

— Mniejsza z tem; niech się żeni.

On też zamierza to uczynić i zaślubić księżniczkę Annę.

— Nie dokaże tego, póki ja żyję. Oświadczył się przed rokiem i odmówiono mu.

— Tak jest; teraz oświadczy się ponownie i będzie przyjęty. Oh! czyż nie widzisz, Eugieniuszu, że spisek przeciwko tobie prowadzą osoby dokładnie powiadomione o stanie twoich interesów i usiłujące przeszkodzić twemu małżeństwu z księżniczką Anną? Jeden tylko człowiek w Europie ma w tem interes, aby owo małżeństwo nie zostało doprowadzone do skutku, a tym człowiekiem jest pretendent do ręki księżniczki Anny.

— Dowodzisz, Aribercie — rzekł książę Eugeniusz blady z silnego wzruszenia — że moje uwięzienie w Ostendzie było dokonane przez ajentów księcia Bośni.

— Nie inaczej.

— Chcąc powstrzymać układy moje z Samsonem Levi, odbierasz tem samem nadzieję poślubienia księżniczki Anny.

— Aribert potakująco skinął głową.

— Jesteś wiernym przyjacielem moim, Aribercie i działasz w dobrej wierze, ale pomyliłeś się tym razem. Straszą cię nic nie znaczące drobnostki.

— Zapomniałeś o Reginaldzie Dimmocku?

— Mówiłeś, że umarł z anewryzmu serca.

— Wcale tego nie powiedziałem; mówiłem, że go zamordowano. Biednego chłopca pozbawili życia ci sami, którzy ciebie prześladują, kochany Eugeniuszu.

Eh! ja nie wierzę, iżby on był zamordowany. Co do Samsona Levi, trzymam z tobą zakład, o tysiąc marek, że dziś załatwię z nim interes i że będę miał w ręku milion funtów szterlingów zanim wyjadę z Londynu,

Aribert zaprzeczył stanowczo.

— Polegasz zbytecznie na charakterze tego Samsona Levi. Czy odwoływałeś się już do niego poprzednio?

. . . .

Czasami — odparł Eugieniusz, zawahawszy się chwilę. — Któryż młody człowiek na mojem stanowisku nie miałby potrzeby odwoływać się niekiedy w interesach do takiego Samsona Levi?...

— Ja nie miałem tej potrzeby — rzekł Aribert.

— Ty, mój drogi, jesteś okazem przedpotopowych czasów.

— To rzekłszy, chwycił za srebrny dzwonek.

— Hans! prosić pana Samsona Levi.

— Aribert wyszedł, a synowiec jego zasiadł w wielkim, aksamitnym krytym fotelu i zaczął przeglądać papiery, przyniesione przez starego sługę.

— Dzień dobry jego książęcej mości — rzekł Samson Levi, składając głęboki ukłon u wejścia. — Mam nadzieję, że jego książęca mość zdrów zupełnie.

— Czuję się zdrowszym, dziękuję — odparł książę.

Mimo częstych stosunków, w jakich bankier zostawał z osobami panujących rodów, w pierwszej chwili spotkania z niemi tracił równowagę umysłu i swobodę ruchów, był zmieszany, krew biła mu do głowy, oddychał ciężko.

— Zaczniemy zaraz od interesu — rzekł Eugeniusz. — Proszę siadać, panie Levi.

— Dziękuję waszej książęcej mości.

— Co do owej pożyczki, na której warunki zgodziliśmy się wzajemnie... o ile pamiętam, suma była oznaczona na milion funtów szterlingów — mówił książę tonem pozornej obojętności.

— Tak jest, milion... — potwierdził Levi, bawiąc się łańcuszkiem od zegarka.

— Wszystko już teraz w porządku, masz tu pan papiery; radbym interes załatwić bezwłocznie.

— Dobrzeby to było, proszę waszej książęcej mości, tylko że...

— Tylko co? Przed miesiącem byłeś pan zupełnie zadowolony z dawanej na tę sumę gwarancyi, jakkolwiek przyznaję, że rodzaj zabezpieczenia niezwykły. Zgodziłeś się również na spłatę długu w oznaczonych terminach i na wysokość pobieranego od pożyczki procentu. Nie każdy lokować może kapitał miliona funtów szterlingów na $5^1/_2$%. W ciągu lat dziesięciu cała suma ratami zostanie uiszczoną. Zdaje się, iż powiadomiłem pana, że majątek księżniczki Anny, która ma uszczęśliwić mnie darem ręki swojej, wynosi około pięćdziesiąt milionów marek, co na monetę angielską czyni przeszło dwa miliony funtów szterlingów.

Książę Eugeniusz nie rad był zwierzać się w ten sposób obcemu finansiście, ale zmuszały go do tego okoliczności.

— Widzi wasza książęca mość, tak się przedstawia położenie: — zaczął bankier narzeczem, zatrącającem hebrajszczyzną. — Mówiłem, że mogę trzymać tę trochę pieniędzy na zawołanie waszej książęcej mości do końca czerwca, a wasza książęca mość przed upływem tego czasu miał się widzieć ze mną. Gdy minął termin, nie otrzymując żadnej wiadomości od waszej książęcej mości i nie mogąc nawet dowiedzieć się o miejscu jego pobytu, lubo czyniłem o to starania przez mego agenta w Niemczech, sądziłem, że wasza książęca mość zmienił zamiar i gdzieindziej zaciągnął pożyczkę. Pieniądz obecnie tani, kapitał szuka lokacyi.

— Na nieszczęście, ważne sprawy zatrzymały mnie w Ostendzie — oświadczył książę, przybierając ton pańskiej wyniosłości. — W tym interesie nie traktowałem z nikim innym. Potrzebuję miliona funtów szterlingów. Będziesz pan tak uprzejmy i dasz na nie przekaz bankierowi memu w Londynie.

— Bardzo mi przykro — rzekł Samson Levi z uniżoną grzecznością — ale moi wspólnicy wycofali już te pieniądze, dając im inne przeznaczenie,

Wysłane są do Ameryki Południowej; poufnie mogę waszej książęcej mości powiedzieć, że tę pożyczkę zaciągnął u nas rząd chilijski.

— Co mnie, do dyabła obchodzi rząd chilijski, panie Levi! — zawołał książę, blady ze wzruszenia. — Muszę mieć ten milion funtów; układ między nami zawarty,

— Przyznaję, żeśmy weszli w umowę — oświadczył bankier — ale ta umowa z winy waszej książęcej mości została zerwaną.

— Nastąpiła długa chwila milczenia.

— Dowodzisz pan — odezwał się książę z pozornym chłodem — że nie jesteś już w możności użyczenia mi żądanego miliona funtów?

— Nie mógłbym dostarczyć go waszej książęcej mości przed upływem lat paru.

Książę objawił żywe niezadowolenie.

— Panie Levi — rzekł — jeśli do jutra nie dostarczysz mi tego miliona funtów szterlingów, zrujnujesz jedną z najdawniejszych rodzin panujących, a tem samem zmienisz ustrój polityczny i kartę geograficzną Europy. Nie dotrzymujesz słowa; liczyłem na pana!

— Przepraszam waszą książęcą mość — odparł bankier wstając z krzesła — to nie ja nie dotrzymałem słowa. Powtarzam raz jeszcze, że nie rozporządzam już tym kapitałem i mam honor pożegnać waszą książęcą mość, życząc mu dzień dobry.

Po tych słowach Samsom Levi złożył sztywny ukłon i wyszedł z sali audencyonalnej.

— Była to ciekawa scena, charakteryzująca koniec dziewiętnastego stulecia: otyły, pospolity, urodzony w nędznej dzielnicy żydowskiej człowieczek, którego największą przyjemnością w życiu była przejażdżka statkiem w sobotę po rzece, mieszał szyki i przyprawiał o ciężki zawód ostatniego reprezentanta rodu, występującego przez długie wieki na kartach dziejów Europy, a w zamku swoim otaczanego zawsze okazałością, znamionującą władzę panujących.

— Miałeś słuszność, Aribercie — mówił chwilę później książę Eugieniusz. — Nie mam innego wyjścia, jak tylko...

— Co chcesz powiedzieć? — przerwał mu Aribert przerażony.

— To co uczynić postanowiłem — odparł Eugeniusz. — Postaram się, iżby fakt miał pozór wypadku...

XXI.

Powrót Feliksa Babilon.

Wieczorem w dniu spotkania księcia Eugeniusza z Samsonem Levi, Teodor Racksole krążył niespokojnie po przedsionku i korytarzach hotelu Babilon. Powrócił przed paru dniami z Ostendy i daremnie usiłował zapomnieć o zajściach, w których brał tam udział. Napróżno czynił w duchu uwagi, że najlepiej zostawić rzeczom ich bieg właściwy; tej filozofii powinny go były nauczyć olbrzymie przedsięwzięcia przeprowadzane przez niego pomyślnie w New-Yorku, tym razem jednak nie mógł się zachować biernie. Obecność książąt w hotelu budziła chęć walki w człowieku, który dotychczas nigdy nie był pokonany. Chwyciwszy broń, stanął po stronie niesłusznie prześladowanych i choćby książęta zaniechali tej walki, on prowadziłby ją na rachunek pokrzywdzonych. W zapasach z ukrytymi wrogama stronnicy Rüdesheinów byli do pewnego stopnia górą, skoro księcia Eugeniusza z niebezpieczeństwa wyratować zdołali a nieprzyjaciół w osobie Juliana, Rocca i panny Spencer zmusili do ucieczki. Milioner jednak uznawał to niedostatecznem, znajdował niezgodnem z poczuciem sprawiedliwości, aby tacy zbrodniarze — zbrodniarzami zaś byli niewątpliwie — mogli w dalszym ciągu intrygować swobodnie. On nadto o wszystkiem, co zaszło, nie doniósł policyi, a lubo lekceważył organa porządku publicznego, wiedział dobrze, że gdyby policya sama wpadła na ślad zatajonych przed nią wypadków, on, Racksole znalazłby się w trudnem położeniu i wobec prawa uznany byłby winnym ukrywania przestępstwa.

KRONIKA.

Komisja klimatyczna uchwaliła budżet na r. 1904.

Z urzędu gminnego dowiadujemy się, że rada gminna ma zadecydować ostatecznie na posiedzeniu swem 16 b. m. budowę wodociągów, w myśl uchwał sejmowych z 12 lipca 1902 i 27 października 1903, jak nie mniej w myśl reskryptu Wydziału krajowego z 1 października br. Naczelnik gminy stara się obecnie o inżyniera specyalistę, któryby wygotował szczegółowe plany i kosztorysy mającego się budować wodociągu.

Budowa nowej przecznicy, tak zwanej ulicy Marszałkowskiej, utknęła w Namiestnictwie. Gmina podać bowiem musiała o wywłaszczenie gruntów, gdyż interesowani za nie takich sum zażądali, jakby to były place co najmniej koło „Opery“ w Wiedniu. A co najboleśniejsze to fakt, że najwięcej żądają za grunt właściciele z inteligencyi. Ciekawe to są stosunki. Szkoda, że poseł Rotter nie wiedział o wielu szczegółach, byłyby jego przemówienia w sejmie jeszcze bardziej zajmujące. Nie zazdrościmy majstrowania drowi Chramcowi, dziwimy się nawet bardzo, że mu się chce w tem „bagnie“ być majstrem.

Spostrzeżenia meteorologiczne.

	3/11	4/11	5/11	6/11	7/11	8/11	9/11
Termom. such.	8·2	6·9	2·5	2·0	2·3	2·3	2·8
„ wilg.	7·9	6·9	1·9	1·8	2·3	2·3	0·2
Ozon	10	11	13	14	14	14	11
Term. maxim.	37	38	24·8	28·2	23·7	20·7	20·4
„ minim.	13·1	9·8	0·9	+0·8	+0·7	—1·4	—4·6
Term. na bar. .	11·4		6·1	8·5	5·9	4·5	2·0
Barometr . . .	702·4	701·8	702·5	701·	702·	702·	700·
Kierun. i szyb. wiatru . . .	WWS	SSE	NNE	SSE 1	NNW 1	EES 4	NWW
Stop. zachmurz.	0	0	9 kłęb.	9 kłęb.	mglist.	0	0
Wysok. opadu	—	4	5·0	6·4	3·1	0	0
Uwagi	mgła		deszcz.	śnieg	deszcz.	śnieg	pogod.

Właścicielka i wydawczyni: Józefa Rogoszowa. Redaktor odpowiedzialny: Dr Antoni Beaupré.

Druk W. Korneckiego w Krakowie.